

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

11

(Ciąg dalszy).

Tak marzyli oboje i kołysało ich owo marzenie, kołysało ich uczucie szczęścia i nie zważali, że wiatr huraganem bije o statek, że wody wyrzucają z siebie olbrzymie potwory bałwanów, że parowiec przechyla się, wstrząsa, podnosi i opada. Oni szczęśliwi!

Opodal siedziała starsza para. Może sześćdziesięcioletni mężczyzna, czerstwy, świeży, rumiany, o wejściu łagodnym, dobrodusznym, wesołym. Przy nim nie o wiele zapewne młodsza kobieta, o rysach twarzy szlachetnych, powleczonej mgłą spokojnego smutku. Oboje wpatrywali się w Hanię i Ryszarda z jakimś serdecznym zajęciem.

— Istotnie, rzekł ów mężczyzna do swej towarzyski — prawda, dziwne podobieństwo.

— Nawet podobny uśmiech. Co też za jedni?

— Ot, jakaś młoda para w podróży poślubnej.

— Żeby się też jako poznać z nimi.

— Daj spokój moje dziecko. Po co im przeszkadzać, niech sobie gruchają.

I umilkli oboje i znowu wpatrywali się w młodą parę.

Tymczasem rosła burza i huczała piekielną grozą, a miotła statkiem, jakby go chciała wrzucić w paszczę rozżartego morza. Nawet zakochani zadrżeli, nawet spokojna, cicha para, na zakochanych miłościwie spoglądająca, ujęła się rękoma, jakby w obawie, by ich co nie rozdzieliło, złączonych przed trzydziestu kilku laty przed ślubnym ołtarzem. Zamęt, niepokój, huk bałwanów, wycie wichrów, wściekła złość żywiołów — a zarazem lęk straszny i rozpaczliwe wykrzykniki, ciche, gorące modlitwy, czarne rozpacz tych, co mieli serce przed Bogiem zamknięte i poważne rezygnacje tych, co nie wyrzekali się nigdy Boga. To wszystko miesza się, zespala w straszne akordy śmiertelnego hymnu, w bojowe hasła walki życia ze śmiercią.

Ryszard ujął Hanię, ona tuliła się do niego. Spoglądali sobie w oczy taką siłą miłości, że gdyby ich nagle zalała fala, możeby nawet nie czuli, nie widzieli, że umierają.

Straszne godziny tych zapasów życia ze śmiercią były dla podróżnych i załogi długie, bo tak już z woli Bożej ułożyło się na świecie, że godzina radości wydaje się sekundą, a sekunda cierpienia godziną.

Zwolna rozciągać się zaczęły po zwierciadle wód spiętrzone fale, bo wichry pognały innym prądem. Statek uspokajał się, prostował na wodnej drodze, a i chmury rozdzielały się zwolna, rozlatywały, lub tonały w morzu. Otucha zaczęła wstępować w ludzi, gdy słońce pęk promieni rzuciło na parowiec i złotą smugę rozścieliło na morzu.

— Już złe minęło, co? — rzekł ktoś do kapitana okrętu.

— Jeden nieprzyjaciół nas opuścił — odpowiedział kapitan, ale zbliża się drugi, groźniejszy.

— Cóż takiego kapitanie?

— Mgła. A to złe, bo nas burza spędziła ku wybrzeżom. Maszyny uszkodzone, słowem: baczność, bo o nieszczęście nie trudno.

Rozmawiali cicho, ale słyszeli rozmowę i Ryszard i Hania, bo stali tuż, przytuleni do słupa, niedostrzeżeni.

Hania zadrżała wielkim lękiem. Ryszard przycisnął ją do piersi i tulił i dłoń położył na jej głowie, jakby ta dłoń tarczą była, co ma Hanię od wszelakiego ciosu osłonić.

— Najdroższy! jedyny! szczęście moje! szeptała Hania.

— O moja gołąbko, żono moja — szeptał Ryszard.

— Tak, nie opuszczaj mnie, trzymaj. Jeżeli mamy zginąć, to zginęmy w uścisku.

— Haniu moja! My nie zginiemy, Bóg nas ocali; to nie możliwe, by naszym rodzicom Bóg zagładę przeznaczył.

— Módlmy się!

I z serc ich płynęła do Boga modlitwa rzewna, dziecięca, gorąca, a na morze zsuwała się biaława opona mgły gęstej, wilgotnej, łzawej. Za tą oponą nic widać nie można, ni statku, ni ludzi. Pod mgławicą szum fali morskiej, zgrzyt maszyn na parowcu, echa sygnałów, tem silniej działają na słuch, że oko niczego dopatrzeć nie może.

Lęk coraz większy, powszechny. Podróżni skupiają się bezwiednie, jakby im w tem skupieniu było bezpieczniej, to znowu zastaniają oczy, aby się okłamać i powiedzieć sobie, że to sen, nie jawa.

Nagle usłyszano stłumiony ryk, jakby jakiegoś olbrzymiego potwora. To parowiec ryczał, dając tem znaki swego istnienia, przestrogi dla innych statków, aby weń nie uderzyły. Krew ścina się w żyłach ludziom, co po raz pierwszy to słyszą. Ryk ustał — a natomiast zahuczał grzmot strzału armatniego.

Podróżni zaczęli się tłoczyć, nawoływać. Tłum zbił się w kupę, zgniótł się, zdusił; potem rozpręzał, rozdymał, rozwałał pięścią, rozpychał łokciami. Krzyk, wrzawa, łomot, przekleństwo i skargi. Ryszard osłaniał Hanię silnym ramieniem, docisnąwszy się szczęśliwie na pokład. Ona drżała z przerażenia, omdlewała na jego piersi, a on wysilał męską energię, aby nie stracić przytomności umysłu i zimnej krwi. Czuł, widział, że tego mu bardzo potrzeba w tej chwili, bo widoczne było niebezpieczeństwo.

Kapitan i oficerowie uspokajali podróżnych, zapewniali, że jeszcze nic się nie stało groźnego — i zwolna uciszyło się na statku... Po wysiłkach nerwowych, nastąpiła chwilowa apatia. Co pewien czas słońce rozpruwało mgławicę i wciskało się na statek, a wtedy upajano się radością, że minęła już groza niebezpieczeństwa. Ale wnet mijała radość, gdy mgła pochłonięła słoneczne promienie i zamknęła słońce przed ludźmi.

Statek płynął, leniwie prując falę morską. Kołysała nim, pędziła go, a on miał mało siły, by się jej oprzeć. Opanować jej nie mógł, bo popsuta maszynerya, ledwie jako tako działała, jak człowiek ostatnie wydające technienia. Niekiedy wiatr się zerwał, mgłę rozdarł, a statkiem o falę rzucił, jakby się z nim mocował i powalić go pragnął.

I znowu ryk sygnałów i znowu gromy armatnie, a statek już nie płynie własną wolą i mocą, jeno fala go niesie i niesie i jedna drugiej go podaje. Noc zapada. Wszyscy podróżni zostali na pokładzie, nikt nie miał odwagi wejść do środka, do kajut. Ryszard otulił Hanię, ogrzewał własną pierś, bo kostniała z zimna i wilgoci.

Kapitan kazał porozdzielać przyrządy ratunkowe, przygotować łódzie. Ciemnica była taka, że mimo licznych latarni na statku, o dwa kroki nie widać nie było. Nagle błysnęły z boku dwa czerwone światła, jak olbrzymie ślepie jakiegoś potwora. Na statku zawzięcie ryknęły hasła, zagrzmiwały armaty: potwór o czerwonych ślepiach nie odwrócił się, nie uszedł, lecz uderzył kadłubem w statek. Parowiec zachwiał się nagle, rzucił w bok; wiązania zaczęły w nim trzeszczeć, łamać się, rozpadać. Rozpaczliwe krzyki podróżnych, łomot rozpadającego się parowca, sygnały marynarskie, huk armat, szum morskiej fali i czarna bezdeń nocy, to niby piekielne widma, stokroć groźniejsze, niż szal bojowy w zażartej bitwie na lądzie.

Straszną była ta mimowolna podróż poślubna Ryszarda i Hani.

Zniknęły czerwone ślepie, potwór zanurzył się w odmętach, zalały go piany fale, a wiry chwytaly w coraz dalsze głębie, aż spoczął na dnie i zbudził tam śpiące tajemnice morza. Ile żywotów ludzkich przepadło, zmarniało — ile mak śmiertelnych przybyło w rejestrze ludzkich cierpień, o to nikt się na statku nie troszczył, o tem nikt nie myślał, mając śmierć własną przed oczyma.

Statek zanurzył się tyłem kadłuba, ocieźzał, ale włókl się jeszcze, dyszał ostatnim wysiłkiem parowej maszyny i trzymał na wodzie.

Szarzeje, dnieje, coraz jaśniej; mgła ustąpiła, słońce zatoczyło się na niebo, uroczyście, wspólnie, jakby na uragowisko znekąnym podróżnym, a nie na pociechę, bo przy jego blasku spostrzeżono dopiero, że statek przepada, zanurza się, ginie.

Zdała widać ład. Fala niesie statek ku jego wybrzeżom, płaskim, piaszczystym. Nigdzie nie widać bezpiecznego schroniska, ni portu, ni zatoki.

Tylna część statku coraz bardziej się zanurza i zatrzymuje go, jakby ciągnęła w dół, w przepaść. Statek stanął i w jednej chwili dobyły się z niego wściekle syczące kłęby pary. Woda zalała kociół. W tej chwili nastąpiło wstrząśnięcie gwałtowne, statek zarył się w ławę piaszczystą.

— Do łodzi! — krzyknął kapitan.

Z tonącego parowca tłoczą się, spychają podróżni w piekielnym zamięciu; rozbijają pięściami, kłusują zębami, kopią, szaleją, dzicy, rozpasani. Ryszard chwycił Hanię, uniósł ją omdlałą, dopadł do krawędzi pokładu, ujął jedną ręką linę, w drugiej trzymając Hanię, i polinie dostał się z nią do łodzi ratunkowej.

Łódzie zapełniły się w mgnieniu oka i rozproszyły po kołyszących się falach, a w statek coraz bardziej wciskała się woda. Łódź, na której zna-

leżli się Ryszard z Hanią, odepchnęła fala i strąciła na bok, gdzie wir ją pochwycił, zakręcił nią gwałtownie i wtłoczył w lejowate wydrążenie wody. Ci co na niej unosili nadzieję ocalenia, nawet nie zdążyli wydać okrzyku, tak błyskawicznie ich wtłoczył w grób morza, ów straszny grabarz wodny: wir.

Zniknęła łódź, przepadła — morze pieni się nad wir — a z niego wynurzają się głowy, ręce, to silniejsi walczą o życie. Ryszard prawą ręką rozgarnia wody, lewą trzyma Hanię; oczy rozwarte szeroko, świecą dogasającą energią, ramie coraz słabiej rozpiera się po wodzie, już głowa zaczyna mu zwisać. Jeszcze czyni wysiłki, jeszcze rzucił się ramieniem naprzód i woda zalewa go już zaczęła.

W tej właśnie chwili dopłynęła ku niemu łódź inna. Jeden z majtków rzucił się w wodę, chwycił Ryszarda — uniósł — ocalił — umieścił na łodzi. Ryszard omdlały był, bezprzytomny. Łódź goniła dalej ku brzegom, z ocalonym Ryszardem, a byli na niej ów pan starszy z żoną, co tak się wpatrywali w Ryszarda i Hanię na statku.

To być nie może.

Baronowa wyczekiwała wiadomości od Ryszarda — niespokojna, tęskna, osamotniona. Pocieszała się nadzieją, że Ryszard szczęśliwie dostanie się za granicę, ale serca matki nawet nadzieja uspokoić nie zdoła; sercu matki trzeba pewności. Modliła się gorąco, rzewnie i zdążyła myślać i sercem po nieznanach drogach, szukając tam syna i synowej. A gdzie oni? a czy już dotarli do portu? a może już płyną na morzu? a może... może ich ujęto?!

— Boże! ratuj! — zawołała pod wrażeniem tej myśli — i znowu utonęła duszą w modlitwie.

W taką to chwilę wszedł Bertold z telegramem. Umówiono się, że Ryszard wyszle z portu telegram do plebana, na znak, że szczęśliwie uszli pościgu. Pleban otrzymał go właśnie i przysłał.

„Misyjonarze już odpłynęli; obaj zdrowi. Prosim o modlitwę. Steinfels”.

Baronowa przeczytawszy, padła na kolana i zalała się łzami radośnie.

Dzielił tę radość pocziwy Bertold i ocierał łzy i uśmiechał się i kręcił po pokoju, jakby mu się podskoczyć chciało.

Baronowa, skończywszy modlitwę, podniosła się, zbliżyła do Bertolda, położyła rękę na jego ramieniu i rzekła z uczuciem:

— Niech ci Bóg nagrodzi wszystko, co uczyniłeś. Twoja to praca, twoja to zasługa. A teraz trzeba mi pojechać do miasta, żeby pocieszyć biednego Sternegga. Niechże się dowie, że dzieci już bezpieczne.

— A może to daremnie, pani baronowo, bo nas tam do niego nie puszczą.

— Sądzę, że mi nie odmówią. Wszakże nie może to budzić żadnych podejrzeń sądowych. Jedźmy zaraz.

Bertold znowu sam wziął lejce do ręki i zawiózł swą panią do stolicy. — Zatrzymano się przed budynkiem więziennym. Baronowa weszła do biura dyrektora więzień.

— Chciałam pana prosić, aby mi wolno było zobaczyć się ze Sterneggiem.

— A, pani baronowa! Myślałem, że pani przybyła, aby nam udzielić wyjaśnień, dokąd syn uciekł. Może już pani zna jego adres.

— Panie — odpowiedziała baronowa z godnością — zapewne niema takiej matki, która by to uczyniła, gdyby nawet wiedziała. A mogę zapewnić, że nie wiem wcale, gdzie w tej chwili syn mój przebywa.

— A, nie przeczę, nie przeczę. Nawet nie można od pani tego żądać, zwłaszcza, że sąd nie ma żadnego dowodu, czy pani baronowa wiedziała o planie ucieczki. Jednak muszę ostrzedz, że jesteśmy na tropie i zbiega pochwycimy, a nierozważna ucieczka tylko pogorszy całą sprawę.

— Sąd przekona się ostatecznie, że syn mój niewinny. Ucieczka mego syna ocala sąd od popełnienia strasznej zbrodni, przez skazanie niewinnego. A teraz ponawiam prośbę, aby mi wolno było rozmówić się z panem Sterneggiem.

Dyrektor nie odpowiedział zaraz, zamyślił się, jakby się chciał otrząść z jakiegoś zakłopotania, a potem spozierając z ukosa na baronowę, zapytał:

— Jakaż to sprawa zniewala panią do widzenia się z tym więźniem?

— Przynoszę temu nieszczęśliwemu pozdrowienie od córki.

— Od córki? A czemuż nie zjawiała się tu sama?